

Katarzyna Waligóra

Świecidełka

„Dwutygodnik” listopad 2022

Scenografia w tym spektaklu jest jak pudełko, w środku którego mieści się kolejne i jeszcze kolejne, a w każdym z nich znajduje się prezent. Najpierw zasłona, na niej projekcja morza – ogranicza scenę do wąskiego pasa proscenium. Na drugim planie wisi kolejna zasłona, tym razem przezroczysta, srebrząca się przy odpowiednim oświetleniu. Na trzecim planie, w przestrzeni najbardziej oddalonej od widza, znów za pomocą projekcji tworzy się iluzja wody – raz stojącej, innym razem przybierającej formę intensywnego deszczu. Nad głowami widzów wisi wielka biała wałka, która w drugiej części przedstawienia przesunie się nad scenę. Scenografia Katarzyny Minkowskiej i Łukasza Mleczaka doskonale współgra z projekcjami Agaty Rucińskiej. Oprawa muzyczna Wojciecha Frycza tworzona jest na żywo przez Justynę Skoczek, przy współpracy aktorów i aktorek. Na proscenium, po lewej stronie, stoją instrumenty muzyczne, z prawej zaś na ścianie zawieszono kawałek srebrnej blachy, który także służy do tworzenia dźwięków. Wizualny przepych nie ma umiaru.

W spektaklu „Orlando. Bloomsbury”, wystawionym w Narodowym Starym Teatrze w Krakowie, Katarzyna Minkowska niewątpliwie pokazuje się jako reżyserka wszechstronna. Imponującą oprawę wizualną wykorzystuje w pełni możliwości Dużej Sceny. Większość sekwencji jest precyzyjnie wychoreografowana. Spektakl trwa trzy godziny i oprócz sceny zagarnia też przestrzeń foyer. Sprawność reżyserska Minkowskiej, która panuje nad całą tą skomplikowaną materią, jest imponująca. Niestety, nie nadążają za nią treść i temat spektaklu. Lub raczej – jak można podejrzewać – potężna, barokowa oprawa wizualna ma ukryć, że przedstawienie to w istocie trzy godziny jałowych rozmów.

Na scenie oglądamy aż dziewięcioro członków legendarnej grupy Bloomsbury. Oprócz Virginii Woolf (Joanna Połec) jest jej mąż Leonard (Szymon Czacki), siostra, z zawodu malarka, Vanessa Bell zwana Nessą (Magda Grąziowska), szwagier – historyk sztuki Clive Bell (Radosław Krzyżowski), kochanek siostry – malarz Duncan Grant (Grzegorz Grabowski), pisarz i biograf Lytton Strachey (Łukasz Stawarczyk), malarka Dora Carrington (Natalia Kaja Chmielewska), kurator i koneser sztuki Roger Fry (Krzysztof Zawadzki) oraz kochanka Virginii, Vita Sackville-West (Paulina Kondrak). Ich życie toczy się w mieszczańskim saloniku. Z „Orlanda. Biografii”, słynnej powieści Virginii Woolf wydanej w 1928 roku, wzięto niewiele. Bohaterowie wspominają o książce i procesie jej tworzenia, a ze sceny pada kilka zaczerpniętych z niej cytatów.

W połowie pierwszej części spektaklu na scenę wchodzi postać, którą możemy identyfikować z Orlandem – gra ją tancerka Aneta Jankowska (odpowiedzialna także za stworzenie choreografii w przedstawieniu). To rola niema, przez znaczną część przedstawienia osobna w stosunku do

pozostałych postaci. Za to z powieściowego „Orlanda” Minkowska i dramaturg Tomasz Walesiak zaczerpnęli sposób konstruowania czasu. Książka Woolf rozgrywa się na przestrzeni wieków, a upływ lat wyznaczają kolejne zdarzenia historyczne, ale nie starzenie się Orlanda/Orlandy. Można więc wyliczyć, że akcja przedstawienia zaczyna się gdzieś między rokiem 1917 (kiedy Leonard i Virginia zakładają Hoghart Press) a 1922 (rok publikacji „Pokoju Jakuba”), kończy wraz ze śmiercią Woolf w 1941 roku. Bohaterowie nie zmieniają jednak kostiumów ani wyglądu, trwają niezmiennie w tym samym saloniku. Czas dla nich płynie i stoi jednocześnie.

Użycie w tytule przedstawienia słowa „Orlando” jest mylące. Nie tylko dlatego, że to, co oglądamy na scenie, z fabułą powieści ma niewiele wspólnego. Książka Woolf jest odważna, prowokacyjna i piękna. Twórcy przedstawienia nie wykorzystują niczego z jej istoty: opowiadania o transformacji, bezkompromisowości i życiu na własnych zasadach. „Orlando” w spektaklu zyskuje bardzo silną biograficzną konotację. Można oczywiście czytać powieść tak jak syn Vity Sackville-West, jako list miłosny Virginii do jego matki. Tym tropem idą twórcy, co widać w długim wspólnym tańcu Jankowskiej i Kondrak. Tylko że zamyka to i ogranicza i tak skąpą interpretację sceniczną powieści.

W jednej ze scen Dora Carrington zwraca się do Lyttona Stracheya, próbując znaleźć słowo, które trafnie określiłoby grupę Bloomsbury. On podsuwa wiele wyrażeń, które ona jedno po drugim odrzuca, by w końcu znaleźć idealne: „nudni”. I trudno się z nią nie zgodzić: członkowie grupy Bloomsbury, tak jak zostali pokazani na scenie, są przede wszystkim nudni. A także: wścibscy, drobnomieszczańscy, zblazowani i odpychający. Są woskowymi lalkami salonowymi, zazdrosnymi o własne sukcesy i podważającymi nawzajem swoje talenty. Nie są dowcipni czy życzliwi ze sobą (co podobno było znakiem rozpoznawczym grupy), nie wydają się nawet darzyć się szczególnym szacunkiem. To, co być może twórcy chcieli przedstawić jako dowód zażyłości, czyli subtelny żart, który delikatnie drwi z czułych punktów (na przykład z romansów i komplikacji życia miłosnego), na scenie zwykle okazuje się słownym plaśnięciem w twarz. Virginia nie ma w spektaklu skrupułów, żeby (ze śmiechem) oświadczyć, że jej siostra wyszła za mąż za Clive’a tylko dlatego, że bała się zostać z nią sama po śmierci poprzedniego partnera. Nie ma też oporów przed (znowu niby żartobliwym) wywlekaniem intymnych szczegółów swojego życia z Leonardem. Oglądając spektakl, nie miałam jednak poczucia, że silna krytyka postaci jest celowa i zaplanowana. Jak na to zbyt mało uwagi poświęcono kontrowersyjnym poglądom, które miała Woolf i pozostali albo kwestii społecznego statusu członków grupy.

Bohaterowie nie prowadzą rozmów o literaturze (poza zdawkowymi pochwałami kolejnych powieści Virginii albo drwinami z Jamesa Joyce’a), na temat polityki wygłaszają banalne frazesy, a najbardziej interesuje ich plotkowanie o sobie nawzajem. Relacje miłosne, szczególnie te, które przekraczają granice tożsamości seksualnych (romans Vity i Virginii, romans Nessy z homo- czy

biseksualnym Duncanem, platoniczna relacja połączona ze wspólnym mieszkaniem biseksualnej Carrington z homoseksualnym Stracheyem), są tu salonowym ekscesem. Minkowska i Walesiak nie poradzili sobie ze sportretowaniem skomplikowanych queerowych relacji, poliamorycznych miłości, zdrad i zakochań, przez które przechodzili członkowie grupy Bloomsbury. Nie poradzili sobie też z pokazaniem, jak czas, w którym żyli, wpływał na ich indywidualne wybory. Wybrali skupienie się na warstwie sensacyjnej.

Szczególnie niesprawiedliwe zostały na scenie potraktowane Vita i Virginia. Ich relacja zaznaczona jest tylko w warstwie tekstowej oraz poprzez bardzo grzeczny wspólny taniec i ofiarowanie kapelusza. Vita Sackville-West została w spektaklu całkowicie pozbawiona osobowości i dorobku artystycznego, co sprowadza ją do roli znudzonej żony, która na boku uwodzi kolejne kobiety. Romans z Virginią jest dla niej błahostką, rekordem w długiej historii miłosnych podbojów. Dla Virginii jest może czymś poważniejszym, ale nie na tyle, by mogło zagrozić jej związkowi z Leonardem. Co więcej, Woolf – queerowa autorka „Orlanda”, w którym biseksualna postać przechodzi genderową transformację – w spektaklu Minkowskiej kilkakrotnie czyni opryskliwe uwagi pod adresem „mało kobiecej” Carrington. Oglądając przedstawienie, właściwie nie wiadomo, dlaczego bohaterowie kontynuują te toksyczne relacje, dlaczego się ze sobą spotykają, skoro wzajemny kontakt nie przynosi im żadnej radości.

W przedstawieniu jest jeden moment, w którym twórcy próbują wyśmiać próby zawłaszczenia historii pisarki przez rozmaite przeciwstawne dyskursy. Między pierwszą a drugą częścią na fotelach w foyer zasiadają Viviane Forrester (Urszula Kiebzak) oraz syn Nessy i Clive’a, Quentin Bell (Krystian Durman). Obie postaci napisały bardzo różne wersje biografii Virginii. W przedstawieniu kłóć się o to, czy Woolf była oziębła seksualnie, czy Leonard powinien był dać jej dziecko i czy leczył ją w najlepszy możliwy sposób. Forrester chce widzieć Virginię jako niezależną feministkę, Bell pozostaje wierny wersji Leonarda, grupy Bloomsbury i swojej rodziny, pisząc, że życie pisarki naznaczyła choroba. Obie postaci są komiczne, obie zostają wyśmiane. Ta scena nie zmienia jednak tego, że w przedstawieniu Woolf jest pokazywana w sposób stereotypowy i schematyczny.

Jej stan psychiczny jest oczywiście jednym z ważniejszych tematów. Twórcom udało się nie ulec pokusie eksponowania wizerunku „szalonej” Woolf, nie skorzystali natomiast z okazji do pokazania Woolf radosnej i pełnej życia. Nawet kiedy nie jest pogrążona w depresji, „przyklejona do podłogi”, jak mówią o niej pozostałe postaci, Virginia w spektaklu jest ciągle neurotyczna i niepewna. Chodzi od ściany do ściany, mówi nerwowo i niespodziewanie wybucha złością na Leonarda. To przedstawienie mogło być doskonałą okazją do pokazania zupełnie innego wizerunku artystki, na przykład jako kobiety brylującej dowcipem i inteligencją. Z tej okazji nie skorzystano.

Dziennikarz Will Gompertz zauważył, że najstynniejsze zdjęcie Virginii Woolf (melancholijna fotografia w sepii, która zwykle jako pierwsza pojawia się po wpisaniu imienia i nazwiska pisarki

w wyszukiwarkę internetową) przedstawia skrajnie fałszywy obraz kobiety. Zdjęcie zostało wykonane w 1902 roku – jak pisze Gompertz – „zanim stała się sławna, a właściwie to także zanim stała się Virginią Woolf”. Osoba na fotografii to bowiem Virginia Stephen, która jeszcze nie poślubiła Leonarda Woolfa. Zdaniem Gompertza to jednak wizerunek pisarki, który chcemy kultywować: „młodej i pięknej, eleganckiej i delikatnej”. Taką Woolf przedstawia też w Starym Teatrze Joanna Połec (która, swoją drogą, robi, co może, z materiałem, który został jej dany). A przez specyficzny czas akcji, o którym wcześniej pisałam, Virginia jest na scenie taka sama i w roku 1917 roku, i dwadzieścia cztery lata później. Prawdziwa Woolf umarła w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat. Tak, przedwczesną, samobójczą śmiercią, ale nie jako podlotka, lecz dojrzała kobieta. Tego jednak w przedstawieniu nie zobaczymy.